

**Mietek Pachter, „Umierać też trzeba umieć...”, red. i wprowadzenie
Barbara Engelking, Warszawa: Stowarzyszenie Centrum Badań
nad Zagładą Żydów, 2015, 783 s.**

Nakładem Stowarzyszenia Centrum Badań nad Zagładą Żydów, w ramach starannie zaplanowanej i pieczołowicie opracowanej serii „Biblioteka Świadectw Zagłady”, ukazał się właśnie kolejny tom – *Umierać też trzeba umieć...* Mietka Pachtera, pod redakcją Barbary Engelking. Wspomnienia Pachtera są tekstem ze wszech miar wyjątkowym. W serii koncentrującej się „na prezentacji dzienników, zapisów pamiętnikarskich, relacji pozostających w kręgu form autobiograficznych i spisywanych *hic et nunc*, tzn. w gettach bądź w ukryciu poza murami, ale jeszcze w czasie trwania wojny i okupacji” nie brakowało ważnych świadectw. Nawet na ich jednak tle książka Pachtera się wyróżnia. Jest najobszerniejszą z opublikowanych dotąd przez Centrum relacji (ponad 750 stron, nie licząc aneksów). Ma to ważne konsekwencje w oddziaływaniu na odbiorcę. „*Umierać też trzeba umieć...*” nie daje o sobie zapomnieć, czytelnik zanurza się w te wspomnienia niejako „w całości”.

Dobre wprowadzenie do pokazania atutów książki Pachtera stanowi zwarty wstęp Barbary Engelking. Badaczka precyzyjnie punktuje liczne zalety relacji. Wymienię je za autorką *Jest taki piękny słoneczny dzień...*:

– Książka Pachtera ma „bardziej charakter dziennika niż pamiętnika” (s. 10), obfituje w szczegóły, przybliża opisywany świat w stopniu, dla którego trudno znaleźć precedens;

– „różnorodność przeżyć, ich intensywność, zmienność, szczegółowe opisy reakcji na kapryśne koleje losu, bogactwo psychologiczne stanowią o nieprzeciętności tej książki” (s. 10);

– „wiele ich [wspomnień – B.K.] fragmentów zasługuje na szczególną uwagę ze względu na swą niepowtarzalność” (s. 10), opisuje fakty wcześniej mało znane, np. pracę grupy TWL (Truppenwirtschaftslager) rozbierającej budynki getta;

– Pachter przedstawia „niespotykany obszerny opis życia ludności cywilnej w okresie powstania w getcie warszawskim” (s. 11), zwłaszcza życia codziennego podczas trzech tygodni w bunkrze przy ul. Szczęśliwej;

– autor operuje wyjątkowym językiem, „bez zahamowań czy autocenzury”, adekwatnie oddającym doświadczenia;

– podczas czytania tej książki uderza „unikatowa [...] wrażliwość na duchowy wymiar doświadczenia Zagłady” (s. 12).

Relacja Pachtera składa się z dziewięciu chronologicznie ułożonych rozdziałów, przedstawiających losy jej autora od wybuchu wojny (rozdział I), przez okres życia w getcie warszawskim (rozdziały II–V), transport z Umschlagpla-

tu przez Treblinkę na Majdanek (rozdział VI), pobyt w obozie HASAG w Skarżysku-Kamiennej i praca w hartowni (rozdział VII), okres częstochowski (rozdział VIII), wreszcie pustkę, jakiej autor doświadczył po wyzwoleniu (rozdział IX). Całość uzupełniają krótka nota córki autora Régine o dalszych losach jej ojca oraz przeniesione do aneksu, wcześniej znajdujące się w obrębie narracji, genewska deklaracja praw dziecka, a także publicystyczne komentarze Pachtera z 1947 r.

Na szczególną uwagę zasługuje charakterystyczny, miejscami nieporadny, język. To on decyduje o specyfice i sile tej narracji, co uprzytomnimy sobie, gdy zestawimy polskie wydanie z wcześniejszą, francuską, zbeletryzowaną, a więc napisaną na nowo edycją pamiętnika, przepisaną przez Jacqueline Berkowicz i Henriette Magyar-Dassas – *Varsovie, Treblinka, Majdanek, Skarżysko, Częstochowa* (2013). Dopiero na tym tle widać, jak doskonałą decyzją edytorską było maksymalne ograniczenie ingerencji tekstowych. W nocie edytorskiej wyjaśniono to następująco: „Przestarzałe formy gramatyczne i ortograficzne pozostawiliśmy bez zmian, oddają one bowiem klimat epoki i charakter ówczesnej polszczyzny” (s. 15). Od siebie dodałbym, że dodają również wdzięku tekstowi.

Urodzony w 1923 r. Mietek Pachter nie był intelektualistą. Czuje się to, czytając relację (choć autor wspomina np. lekturę książki Włodzimierza Wiskowskiego *Przepraszam, że żyję* z 1937 r. [s. 558]). Na tym zresztą m.in. polega urok tej postaci. Autor pochodził z kupieckiej, dość dobrze sytuowanej rodziny. Pisał: „przed wybuchem wojny mieliśmy hurtownię jaj, a przed samym wybuchem zostało nam dużo forsy” (s. 25). Język pamiętnika – chropowaty, anachroniczny, niepozbawiony swoistych gramatycznych łamańców (np. „Ale jednostki mało mogli uczynić i ci, czyniąc nawet ponad maksimum, też nie mogli zamienić tą straszną nędzę tą znikomą siłą” [s. 40]) czy dosadnych sformułowań („gdybym zleciał z takiej wysokości, to tylko przez lejek można by mnie było włożyć do trumny” [s. 56]) – z początku mocno razi.

Trudno polubić narratora, który z niezmaconym spokojem – niczym Paulo Coelho – wygłasza truizmy, np.: „nie ma rzeczy, do której człowiek się nie przyzwyczai” (s. 46), lub powtarza niczym mantrę „Pieniądze są jednak okrągłe” (s. 67), pisze o sobie, że nawet w snach był „pełen czynów i poświęceń dla [...] drogiej rodziny” (s. 56), posługuje się stereotypami („gdy tylko znalazł się Niemiec w okularach, wtedy my zacieraliśmy ręce, wiadomo było, że będzie OK” [s. 62]) czy wspominając wypadek podczas rozbiórki, kiedy w plecy uderzyła go cegła i stracił przytomność, pretensjonalnie życzy czytelnikom, by nie spieszyli się z dociekaniem, jakie odczucia towarzyszą człowiekowi podczas umierania (s. 49).

Z czasem jednak, zagłębiając się w kolejne przywoływane obrazy, czytelnik zdaje sobie sprawę z zadziwiającej prawidłowości. Oto język autora okazuje się niezwykle naturalną, wysoce zindywidualizowaną dykcją, decydującą o specyfice tej opowieści. Pachter ma własny styl i słownik z ulubionymi wyrazami, takimi jak choćby „orgje” (oznaczające w relacji krwawe prześladowania) czy „faktor”

(czynnik, element). Wprowadza nas też w język getta, wyjaśniając egzotyczne terminy: „punkty” (s. 39), „szmalcownicy” (s. 55), „grajek (s. 61), „jazda na ścianę” (s. 62), „chaperzy” (s. 92), „imigranci” (s. 348) czy „komandir” (s. 419). Na przekór własnemu przekonaniu, że „nikt tego nie zdoła opisać, żaden pisarz tego nie podola, jeśli nawet to przeżył” (s. 35), Pachter nie unika śmiałych porównań oraz niekiedy karkołomnych, często kiczowatych asocjacji, np. kiedy przyrównuje Rzeszę do bestii „na tylnych łapach” (s. 20), dzieci szmuglujące towary do aniołów („Towar ładowali do marynarki, wypełniając przestrzeń między podszewką a materiałem. Wyglądało to, jakby mieli skrzydła. Tak, to byli prawdziwi aniołowie – lecieli przez wachy, trzymając wątłymi rączkami towar, by podszewka czasami się nie rozerwała i towar by się nie wysypał” [s. 68]), a życie w getcie „do jakiegoś djabelskiego tajfunu, a ludzie dążyli przeciw temu straszному wirowi, kto nie mógł utrzymać się na nogach i padł, a nie powstał od razu, ginął” (s. 52).

Patos, podniosłość, liryzm i lament przechodzą w tej rozedrganej narracji płynnie w domorośle rozważania filozoficzne, zgryźliwą ironię („już leci do mnie inny ukraińiec, szykując się do ciosu. Podziwiałem z całego serca ich gościnność i usłużność, jest to cudowny naród” [s. 436]), sarkazm, sztubackie, pozornie lekkie porównania i żarciki. Nie brakuje również momentów zabawnych, jak choćby epizod, kiedy komando budowlane upiło się znalezionym zapasem wina truskawkowego („mój czcigodny braciszek tańczy jakiś taniec afrykański na murze i śpiewa takie melodie, których nigdy nie słyszałem, by kiedyś śpiewał” [s. 120]) czy wręcz sensacyjnych, takich jak zapierający dech w piersi opis rozbierania przez bohatera komina przy ul. Ceglanej (s. 146–148).

Wszystko to razem tworzy niezwykle oryginalny rytm, na pozór – mimo opisywania dramatycznych wydarzeń – monotony, w istocie jednak spójny i wstrząsający. Gdybym na siłę miał szukać relacji zbliżonej, to przy zachowaniu wszystkich różnic (Mietek nie grał na banjo), wskazałbym na obozowe wspomnienia Stanisława Grzesiuka. On również posługiwał się specyficznym, charakterystycznym językiem „warszawskiego cwaniaka” z Czerniakowa.

Na drobną uwagę zasługuje natomiast w tym kontekście fragment wprowadzenia Barbary Engelking. Kiedy pisze ona:

Mietek jest tak zajęty troszczeniem się o rodziców i braci, że nie ma czasu wejść w rolę ofiary i litować się nad sobą. Życie w getcie, zagłada, powstanie, a potem obozy nie zmieniają – jak w wypadku wielu innych – jego osobowości, nie przeobrażają jego natury. Mietek nie poddaje się ciśnieniu okoliczności. I nie wynika to z głębokiej refleksyjności czy świadomej decyzji – jest raczej spontaniczną reakcją zdrowego, mocnego ego, świadectwem umiejętności stawiania czoła przeciwnościom losu, czyli tego, co obecnie niezbyt zgrabnie (po polsku) nazywa się „rezyliencją” (*resilience*) czy lepiej „sprężystością psychiczną” (s. 12–13),

Ową (faktycznie wydumaną) „rezyliencję” zastąpić można po prostu swoją „zaradnością”. Warto pamiętać, że w przypadku relacji z Zagładą niezmien-

nie zawieramy „pakt referencjalny” z autorem. W największym skrócie (za Philippem Lejeunem), wierzymy po prostu, iż autor, narrator i bohater to jedna i ta sama osoba. Wymagają też tego głęboko etyczne konsekwencje świadectw Holokaustu. Jednocześnie warto jednak mieć na uwadze, że każdy tekst autobiograficzny jest zarówno relacją, jak i kreacją. W przypadku analizy psychologicznej postaci uwzględnić trzeba to, że czym innym jest bohater zewnętrzny, którego wysłuchuje np. terapeuta czy przyjaciel, a czym innym bohater tekstowy stworzony na potrzeby relacji. Pachter poniekąd kreuje siebie, czego wymaga również terapeutyczna strona tej narracji. Jak się bowiem dowiadujemy z wprowadzenia, jego relacja została poniekąd wywołana w trakcie leczenia gruźlicy w Davos w 1946 r. przez angielską psycholog, która „poradziła, by spisał swoją historię i w ten sposób uwolnił się od przeszłości” (s. 9). Pisząc, że „Mietek nie poddaje się ciśnieniu okoliczności”, warto pamiętać o tym strukturalistycznym rozróżnieniu „instancji nadawczych” – bohaterze zewnętrznym, rzeczywistym i wewnętrznym, stworzonym na potrzeby tekstu. Chciałbym, nawiasem mówiąc, wiedzieć, jak potoczyła się rozmowa Barbary Engelking z autorem w grudniu 2012 r. O czym rozmawiali? Jak wyglądały dalsze życiowe perypetie bohatera? Kim był Mietek Pachter *anno domini* 2012 w porównaniu z młodym człowiekiem z relacji? Krótka nota córki Régine pozostawia pewien niedosyt.

Nie sposób, choćby pokrótce, streścić tej książki. Z samej relacji wyłaniają się losy niesłychanego wręcz szczęściarza, by nawiązać do tytułu interesującej minipowieści holokaustowej Adama Sikory z 1994 r. Trudno bowiem zliczyć momenty, w których Pachter otarł się o śmierć. Wielokrotnie jej uniknął, np. gdy spotkał się w getcie warszawskim z Josefem Blösche (s. 238–240 oraz 254), a nawet wcześniej, kiedy wpadł za brak opaski podczas szmuglu papierosów i został poddany śledztwu w „Domu Akademickim” (s. 28–29), gdy stał pod murem straceń (s. 405–408), gdy pozytywnie przeszedł jedną z nielicznych selekcji w Treblince (s. 453–454), gdy wziął udział w „wyścigu o życie” z ukraińskim strażnikiem kopca ziemniaków (s. 513) oraz gdy cudem nie powieszono go na Majdanku (s. 522).

Pachter był świadomy wyjątkowości swojego losu: „Cóż nami rządziło? Jakieś szczęście czy fatum kazało nam żyć, wyrrywając nas dziesiątki razy ze szpon[ów] śmierci, podczas gdy w tym samym miejscu ginęli masami nasi towarzysze” (s. 517). Szczęściu Mietek oczywiście pomagał, swoją zaradnością, zdolnościami handlowymi i przedsiębiorczością oraz trochę andrusowskim, by nie napisać „batiarskim”, postępowaniem. Na przykład wtedy, gdy zorganizował wraz z bratem pobicie szmalcowników i zamknięcie ich w piwnicy. Sam pisał: „Wiedzieliśmy, że tego rodzaju ludzie nabierają dopiero szacunku do człowieka, gdy napotkają na równych sobie cwaniaków, lub też jeszcze większych” (s. 59). W innym miejscu dodał: „nauczka, którą koledzy mi dali, nauczyła mnie, że nie trzeba być za bardzo ideowym, bo można wpaść” (s. 83), co aż prosi się o Grzesiukowy komentarz: „nie masz cwaniaka nad warszawiaka”.

Jego relacja wydaje się szczerą. Pachter bywał autoironiczny („Oto poczuliśmy nagle, że dym nas dusi, zapalono światło i okazuje się, że pełno dymu jest w schronie. Jeśli tak się przeciągnie, wtedy wszyscy się uwędzą. Zobaczyłem przed oczyma szprotki ze złotą skórką, a między nimi piklingi w tejże barwie” [s. 342], „moja czcigodna noga była i jest rozmiaru podolskiego złodzieja” [s. 473]), otwierał się również przed czytelnikami, gdy pisał np. o swoim uzależnieniu od alkoholu („Staliśmy się trochę alkoholikami, ja mniej, Wilek więcej” [s. 164], „Ja z Wilkiem wpadliśmy w szpony alkoholu, tu znajdowaliśmy zapomnienie, gdy się upiliśmy, leżeliśmy na podłodze lub też na kanapie i płakaliśmy, to nam przynosiło niewysłowioną ulgę. Coraz częściej braliśmy ten zabójczy trunk, już nie mogliśmy żyć bez tego” [s. 223]) czy przyznawał się do uczestnictwa w samosądzie podczas transportu z Treblinki na Majdanek (s. 459) oraz pracy w wałbrzyskim urzędzie bezpieczeństwa (s. 660–706).

Ten ostatni fragment, a zwłaszcza krwawe przesłuchania, podczas których bracia w ramach zemsty katowali schwytanych Niemców, dotyka zresztą bardzo kontrowersyjnego problemu żydowskich członków aparatu bezpieczeństwa i mitu żydokomuny. Jest więc niezwykle cenny poznawczo. Bohaterowi nieobce są też dylematy moralne, jak wtedy, gdy wraz z bratem przejęli riksę po zabitym przez Ukraińca Żydzie (s. 102–104), a Mietek zagłuszał wyrzuty sumienia:

Już teraz poruszamy się „rikszą”, można z tym prędzej omijać niebezpieczeństwa, a właściciela przecież nie można wyszukać, bo gdzie go znajdziemy? Zresztą dziś nie ma już ludzi zbyt uczciwych i do kogo się zwrócę z zapytaniem, gdzie jest właściciel tej rikszy, wtedy każdy się przyzna, że jest właścicielem. Zresztą cóż riksza, przecież i to dzisiaj nie ma żadnej wartości (s. 104).

Pachter dał też świadectwo, pozostając nierzadko jedynym depozytariuszem losów gęsto zaludniających jego narracje postaci, niekiedy anonimowych – wspomnianego rikszarza (s. 102–104), staruszki ukrywającej się w mieszkaniu (s. 124–125) czy szantażowanego przez Niemców Żyda, który popełni samobójstwo, niczym żywa bomba skacząc z dachu na SS-mana (s. 300–303).

Opowieść nasycona jest szczegółami niezwykle drastycznymi, od których czytający próbuje w końcu się oderwać, ale które nie pozwalają o sobie zapomnieć. Nawet będąc czytelnikiem oswojonym z opisami pełnymi grozy, po przeczytaniu niezliczonych wspomnień i relacji z Zagłady, nie sposób było mi pozostać obojętnym wobec zawartych w „*Umierać też trzeba umieć...*” obrazów – ludzi wyskakujących z płonących budynków w getcie, obszernego opisu egzekucji w podwórzu poczty przy ulicy Zamenhofs (s. 328–336), chodzenia po stertach trupów (s. 378–379), okrucieństw ukraińskich strażników Umschlagplatzu czy obozowych kapo na Majdanku. Myślę, że decyduje o tym stopień przybliżenia, z jakim w przypadku tej narracji mamy do czynienia. Przypomnę, że mimo iż pamiętnik nie był spisywany na bieżąco, lecz dopiero po zakończeniu wojny, operuje on chorobliwie (traumatycznie?), fotograficznie szczegółowymi wręcz ob-

razami. Polski czytelnik zderza się dodatkowo z prawdami niewygodnymi, kiedy autor pisze o postawach społeczeństwa polskiego. Na przykład we fragmencie dotyczącym opanowywania Warszawy przez Niemców, kiedy „mali chłopcy [polscy] byli ich przewodnikami. Oni [byli] upojeni miłością i sympatią dla nas, Żydów. Jeszcze jako dziecko, które ledwie wymawiało «tata, mama», już drugim słowem było mu wpojone przez rodziców «Żyd». Nauka nie idzie w las, ledwie chodziło na nogach, a już krzyczało: «Zidzie palszywy»” (s. 26). Pachter wspominał też: „Polacy śmieli się i klaskali w dłonie, byli zadowoleni, część wyglądała przez okna, ciesząc się naszym nieszczęściem. Przyznam, że i między nimi były wyjątki, ale tych była taka niewielka ilość, że nie mogę nazwać to dobrą całością” (s. 27). Również w trakcie powstania w getcie warszawskim Pachter opisuje sytuacje, które znamy już z innych relacji:

Nad nami niebo jest czerwone. To jest odbłask płonących domów. Po drugiej stronie ludzie to wszystko widzą. Jeśli mam określić na ogół, to mogę powiedzieć, że ta oto czerwona łuna na niebie to znak krwi i nieszczęścia naszego narodu – wprawia w radość serca ludzi, którzy to widzą zza murów ghetta, lecz poza jego obrębem (s. 347).

Szczególnie dotkliwe są fragmenty opisujące powojenny antysemityzm w szkole samochodowej (s. 650–651), postawy polskich policjantów granatowych przy ulicy Dzikiej, którzy mówili po cichu do idących na śmierć Żydów: „Rzućcie pieniądze i brylanty, bo wam i tak to jest niepotrzebne...” (s. 412), oraz polskich cywili i kolejarzy, o których Pachter pisał: „przyglądają [się] nam, jakbyśmy byli jakim wędrownym cyrkiem lub też unikatami” (s. 443). Polacy oferowali transportowanym do Treblinki wycieńczonym Żydom wodę za kosztowności:

Podchodzi do naszego okna jeden kolejarz i w zamian za złoty pierścionek daje pół litra wody. Pyta się, kto jeszcze chce, niech każdy poda złoto i dolary, za co dostaną wodę. Każdy daje kawałek złota, inni dają dwudziestki „twarde” – złote dolary. Kolejarz nabierał już całą garść złota o bezcennej wartości. Gdy z kolei wysuwamy rękę, by wziąć wodę, on uśmiecha się ironicznie i mówi: „Wy i tak jedziecie na szmelc, a woda nie jest wam potrzebna...!”. Stanęliśmy bez słowa, cóż mu zrobimy, cóż mu powiemy? (s. 443).

Zgadzasz się z Barbarą Engelking, że „Wspomnienia Mietka są właściwie opowieścią o miłości – do rodziców, która pomogła mu przeżyć getto, oraz do brata, która pomogła mu przeżyć obozy” (s. 13), dodałbym jeszcze, że są potwierdzeniem tego, o czym mówił pod koniec życia w rozmowie z Paulą Sawicką Marek Edelman: „Życie tam, w getcie, w pojedynkę było niemożliwe. Bez tego nie można było przeżyć i zostać człowiekiem. Zawsze trzeba było mieć kogoś do pary w tym sensie, że trzeba było mieć przy sobie drugiego człowieka, który myśli tak samo, który jest w ciebie tak samo wciągnięty, jak ty w niego. Dla którego zrobisz wszystko, a on dla ciebie. I to jest miłość”. Oprócz opisów będących dowodem miłości do rodziców czy braci, z których ocalał tylko starszy (Wilek,

ur. 1922) – młodszy Sewek (ur. w 1928 r.) został wywieziony do Treblinki wraz z rodzicami i wujkiem podczas „akcji styczniowej” w 1943 r. – na kartach wspomnień Pachtera nie brakuje również opisów relacji damsko-męskich, flirtu Wilka ze Stellą, córką Grossmana, czy Mietka z dziewczyną w bunkrze („Uściskałem ją i pocałowałem, ona mi się odwzajemniła. Po chwili uświadomiłem sobie, jak bardzo to śmieszne jest, to może być tragi-komedja pierwszej klasy” [s. 357]) oraz Dziunią („Moje serce biło teraz szybko, to była wielka miłość. Co dziwniejsze, że rozszalała się w poczekalni rzeźni” [s. 424]), wzajemnych zbliżeń, kiedy „o krok przed śmiercią serce szukało miłości lub też romansu” (s. 351) czy pośpiesznych małżeństw (*vide* ślub kuzynki, s. 273–275).

Na koniec podkreślić trzeba niezmiernie staranne, wzorcowe wręcz opracowanie tego tomu. Edycja nie jest „przeładowana” przypisami, te, które zostały wprowadzone, są bardzo precyzyjne, nawet gdy redaktorka przyznaje się do niewiedzy (np. że nie wiadomo kim był Krzewin [przypis 35] czy „Nie udało się ustalić szczegółów tego wydarzenia” [przypisy 40 i 41]), wyraźnie ułatwiają oraz pogłębiają lekturę. Podobnie jak wstęp do tekstu wspomnień niezwykle przydatne są mapki, które pomagają zorientować się w topografii getta i wyobrazić sobie, gdzie konkretnie przebywali bohaterowie. Relację wieńczą indeks nazwisk oraz pełne uroku zdjęcia, przede wszystkim powojenne, bohaterów i fotokopie maszynopisu pamiętnika.

Barbara Engelking napisała we wprowadzeniu, że od razu, kiedy wpadł w jej ręce maszynopis, było dla niej jasne, że dostała „skarb, który trzeba opublikować i udostępnić czytelnikom” (s. 9). Skarb ten mieni się rozmaitymi barwami. Jest cenny poznawczo, wstrząsający, kontrowersyjny, a zarazem pełen uroku. Możemy być jedynie wdzięczni, że zarówno edytorka, jak i wydawca zdecydowali się podzielić z nami tym wyjątkowym skarbem.

Bartłomiej Krupa